



Stanisław Srokowski

część V z VII

Sygnatura notacji: **N0344**

Data urodzenia: **29.06.1936 r.**

Data nagrania: **26.06.2023 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Wrocław, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

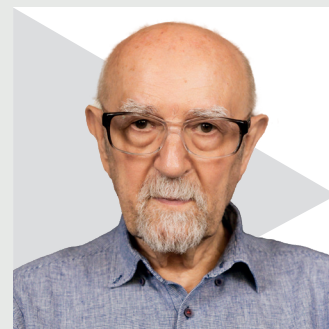
Czas nagrania: **część I: 60min, część II: 58min, część III: 55min,**

część IV: 44min, część V: 60min, część VI: 50min,

Format nagrania: **video**

część VII: 54min

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Artur Kłus: Panie Stanisławie, na początku prosiłbym o wspomnienie pana perspektywy młodego chłopca z tej powojennej polskiej rzeczywistości i opowiedzenie, jak trafił pan do Legnicy.

Stanisław Srokowski: Ja myślę, żeby jakiegokolwiek wydarzenie, które kształtuje naszą rzeczywistość, to trzeba trochę cofnąć się do wcześniejszego czasu, do wcześniejszej epoki, która ujawnia wcześniejsze źródła, które doprowadziły do jakiegoś tam wydarzenia, czy do kształtowania się pewnych spraw, problemów. Tak sam często się zastanawiam na tym, co kształtowało moją drogę, co kształtowało moją osobowość, moją indywidualność, mój sposób myślenia o świecie, moją postawę społeczną, polityczną, wobec rzeczywistości i nieustannie wraca jeden determinant, jedna cecha. Mianowicie myślę, że taki najbardziej burzliwy i najbardziej dramatyczny czas, który mnie kształtował, to była wojna. Tam się właściwie zdarzyły te wszystkie tragiczne wydarzenia, które wpłynęły na moją wyobraźnię, na moją wrażliwość i one później owocowały w różnych epokach późniejszych na to, jak się zachowywałem, co mówiłem i jak reagowałem na różne sprawy. Chcę powiedzieć przez to, że na przykład mój antykomunizm, jego początki, jego źródła biorą się z okresu wojny, kiedy 17 września 1939 roku Sowieci napadli na Polskę, a szczególnie na Kresy, bo tam, na tę ziemię to uderzenie poszło, to moja rodzina była przerażona tym faktem. Mój ojciec, który był rolnikiem i cała moja rodzina, moi dziadkowie, wujkowie, wszyscy, którzy pracowali na wsi, to byli ludzie bardzo przywiązani do ziemi, do zwierząt, do swojego gospodarstwa, ale już tam, na ziemiach kresowych, zanim ta inwazja nastąpiła, to my już coś wiedzieliśmy o komunizmie. Bo to było tak, że informacje przeciekały ze wschodu, z Rosji sowieckiej. Wiedzieliśmy, że tam są kołchozy, wiedzieliśmy, że tam niszczy się religię i wiedzieliśmy, że to jest system bardzo obstrukcyjny, i w momencie, kiedy Sowieci znaleźli się na Kresach, to wiem, że moja rodzina była sparalizo-

wana. Jeszcze się nic specjalnie nie działo, już była sparaliżowana, bo te wcześniejsze wiadomości już tutaj zaczynały odgrywać swoją rolę. Krótko mówiąc, dość szybko przekonaliśmy się, a mówię „przekonaliśmy się”, bo ja już byłem takim chłopakiem, który uczestniczył w tych wydarzeniach, chociaż biernie, ale uczestniczył, słuchałem, co mówił, byłem nastawiony na te głosy, które do mnie docierały, to bardzo szybko zorientowałem się, mając siedem, osiem, później dziewięć lat, że dzieje się coś przerażającego, coś strasznego, co bardzo mocno przeżywają moi rodzice, moja matka, mój ojciec. Co to takiego było? Po pierwsze, do niedawna poczucie wolności było ogromne, bo chłop, rolnik miał swoją ziemię, miał swoje zwierzęta, robił, co chciał, wykonywał czynności, które od niego tylko i wyłącznie zależały, a tutaj nagle pojawia się nowy system komunistyczny, który całkowicie go ogranicza. Ludzi zapędza się do kołchozów. Idea kołchozów była przerażająca dla człowieka wolności. A chłop był człowiekiem wolności. On sam decydował o sobie, o swoim losie. Druga sprawa to atak na religię, na księży i na wiarę. To było drugie uderzenie w takie centrum wrażliwości ludzkiej. Ludzie, którzy od wieków, z pokolenia na pokolenie, traktowali wiarę jako bardzo wielką, podstawową wartość życia ludzkiego, nagle wiedzą, że się zamyka kościoły, że się atakuje księży, że się zaczyna więzić, skazywać, a czasami mordować księży. I te dwa czynniki bardzo mocno wpłynęły na moją rodzinę. Pamiętam nieustające rozmowy: „A co będzie jutro, a co będzie później, a tego księdza zamknęli, a tego księdza przysłuchiwali, a tam się już ta nasza świątynia wali, bo jest niedostępna dla nas” i tak dalej, i tak dalej. I to nasiąkało, to szło przez język, przez opowieści, przez dyskusje, które się toczyły w moim domu, a nieustannie tam i dziadek Piotr, i dziadek Ignacy, i wujek Marian, i wujek Tośko, i tam moje ciotki, nieustannie toczyły się rozmowy, co będzie z nami, co dalej się potoczy. Na dodatek doszły wiadomości, że w szkole następują zmiany. Ja jeszcze na początku nie chodziłem do szkoły, ale później już zacząłem chodzić do szkoły, która była już rosyjską szkołą, znaczy oczywiście mówiliśmy po polsku. I pierwsze, co było takie dojmujące, to zdejmowanie krzyży w szkole. Zdejmowanie krzyży i walka z religią. A więc te czynniki bardzo mocno na mnie jako na dziecko wpływały, bo ja w tym wszystkim uczestniczyłem, to wszystko docierało do mojej pamięci, do mojej wyobraźni, do mojego języka. I myślę, że to był ten taki fundament, na którym wyrastało moje przekonanie później społeczne, polityczne, filozoficzne, religijne, ideologiczne i tak dalej. Tam się to wszystko zaczęło. Ludzie często nie zwracają uwagi na wiek dziecięcy i młodzieńczy, a właśnie to jest bardzo ważne, w jakiej atmosferze, w jakim duchu jesteśmy kształtowani i jakie okoliczności nas wytwarzają. Dlaczego o tym mówię? Dlatego że to, co później nastąpiło, czyli moja szkoła średnia, o której za chwilę powiem, moje studia, które miały dość dziwny charakter, później moje doświadczenia polityczne, moja obecność w Solidarności Walczącej, moje wspieranie Solidarności w ogóle jako wielkiego ruchu, to gdzieś tam na początku... gdybym ja nie przeszedł przez to doświadczenie w okresie wojennym, to prawdopodobnie poszedłbym inną drogą. Nie wiem, jaką, ale na pewno nie byłaby ta droga. Jeżeli pan pyta właśnie o Legnicę, czyli już późniejszy okres mój, kiedy już byłem nauczycielem, to gdzieś tam z tyłu, za mną było to wszystko, co przed chwilą opowiedziałem. Ale zanim Legnica, to było coś innego. Przyjechaliliśmy na te ziemie nasze zachodnie, polskie ziemie, w 1945 roku, to był sierpień 1945 roku i tutaj zacząłem, na tych ziemiach, chodzić do szkoły podstawowej. I znowu, co kształtowało tutaj charakter? Dwa wydarzenia, o których mogę powiedzieć, które wpłynęły na mnie bardzo silnie. W szkole podstawowej miałem taką nauczycielkę matematyki, panią Czarnecką, do dzisiaj pamiętam jej nazwisko, która uczyła matematyki, ale uczyła w taki sposób, że prawda była najważniejsza. Matematyka jest to właściwie nauka o prawdzie. Dwa plus dwa to musi być cztery, nie może być pięć. I ona nas w jakimś takim moralnym przekazie swoim przez matematykę prowadziła do tego, że życie sensowne, życie ludzkie ma tylko wtedy sens, kiedy jest w prawdzie. Idźcie, chłopcy, idźcie, dziewczyny, przez swoje życie przez prawdę. I przez te kilka lat, siedem lat w tej szkole, tak jakoś na mnie

bardzo silnie wpłynęło przez tę panią nauczycielkę, że ja zakodowałem w swoim umyśle, że prawda jest bardzo ważna. Druga rzecz, która bardzo silnie na mnie wpłynęła, to była lekcja religii, kiedy jeszcze religia była, bo później tej religii, już po 1953... znaczy do 1953 roku była, a później już jej nie było, w pewnym okresie. Trochę pomyliłem daty, bo religia była chyba do 1948 roku, a później została zlikwidowana. I był nasz ksiądz w Mieszkowicach, tam, gdzie chodziłem do szkoły, bo tam była szkoła podstawowa. I nasz ksiądz na którejś lekcji religii opowiedział o takim trochę symbolicznym, trochę metaforycznym widzeniu rzeczywistości, mówiąc aluzyjnie o komunizmie. Mówi: „Słuchajcie dzieci, wyobraźcie sobie, że jest wielka straszna zima i jest krzyż, który znajduje się na ziemi i przychodzi śnieg, i ten śnieg sypie, sypie, sypie, godzinami, aż wreszcie zasypuje cały krzyż i tego krzyża nie ma. I już nie widzimy tego krzyża. Ale mija kilka miesięcy, pojawia się słońce, topnieje śnieg i krzyż powoli się odsłania, odradza się”. Boże, jak to na moją wyobraźnię podziałało. Od razu zrozumiałem, że atak na religię, bo to już był wtedy atak na religię, ksiądz dał nam do zrozumienia, że atak na religię kiedyś się musi skończyć, że wiara jest dużo silniejsza i Bóg jest dużo większy niż to, co nam chcą tutaj włożyć w głowę komuniści. Czyli to pojęcie komunizmu ma jak gdyby różne obrazy. To dziecinne jest trochę inne, kiedy tam na Kresach to widziałem, działało na moją wyobraźnię, i to tutaj, kiedy już byłem bardziej dojrzały, bardziej ukształtowany, już kojarzenia, już funkcja mózgu była zupełnie inna. W każdym razie szkoła podstawowa dobudowała we mnie ten pierwiastek silniejszy, że prawda i religia, i wiara to są bardzo ważne czynniki w kształtowaniu ludzkiej osobowości. I teraz następuje następna epoka, która również miała na mnie ogromny wpływ, a o której ja tam za wiele do tej pory nie mówiłem, chociaż ostatnia moja książka, o której później powiem, o tym mówię najwięcej, mianowicie liceum. Do liceum poszedłem do Dębna. To było wtedy Dębno Lubuskie w województwie szczecińskim, bo mieszkaliśmy wtedy w województwie szczecińskim. I to było bardzo ciekawe doświadczenie i powiedziałbym niezwykle ważne. To był rok 1951, ja idę do Dębna do szkoły, do liceum, do klasy ósmej, ale wcześniej już kilka miesięcy w Mieszkowicach, tam, gdzie chodziłem do szkoły podstawowej, ale także w niektórych wsiach, we wsi Zielin, niedaleko miejsca, gdzie mieszkałem, bo ja mieszkałem w takim budynku, który znajdował się między Mieszkowicami a Zielinem, tak zwany „pałac poniemiecki”, docierały ulotki antykomunistyczne. One się pojawiały czasami gdzieś tam na ulicy, czasami na murze były wywieszane, i ta informacja o tych ulotkach antykomunistycznych w 1950 i 1951 roku oczywiście docierała już do mojego domu i rodzice o tym opowiadali, i ludzie opowiadali w Mieszkowicach i w Zielinie, i w całej okolicy, i to było takie zaskakujące, bo z jednej strony ten straszliwy komunizm, ten system zniewalania, a z drugiej strony gdzieś jest jakieś żywe źródło, które w inny sposób widzi tę rzeczywistość. I kiedy przyszedłem do szkoły swojej, do Dębna Lubuskiego, we wrześniu 1951 roku, okazało się, że to, czego wcześniej doświadczałem poprzez te ulotki, poprzez jakieś tam afisze, jakieś głosy, jakieś informacje, że coś się dzieje, że ktoś tam działa, nie wiadomo kto, kto to wszystko organizuje, ale jakieś takie podniecenie już było. Ja zamieszkałem w internacie. Okazało się, że wokół szkoły panuje bardzo napięta atmosfera, bezpieka nieustannie pojawia się w internacie, w szkole, osacza jak gdyby to środowisko, ale też całe miasto, bo nadal pojawiają się, tym razem w Dębnie, te ulotki, te jakieś afisze, te głosy, że coś tutaj się dzieje. I dość szybko, bo chyba w październiku 1951 roku, dowiadujemy się, bo to jest proces, który się odbywa i relacje z tego procesu są w mediach tamtejszego czasu, okazuje się, że wykryto w mojej szkole, w liceum w Dębnie Lubuskim, dwie tajne organizacje antykomunistyczne, dwie. Dwie tajne organizacje antykomunistyczne, które nie były organizowane przez dorosłych ani przez rodziców, ani przez nauczycieli, ale były organizowane przez moich starszych kolegów, kolegów, których ja znałem osobiście. To byli koledzy mieszkający wokół mnie, jeden tu, drugi tam, piąty gdzie indziej, ale ja znałem ich z imienia i nazwiska. I w momencie, kiedy się odbywał sąd w Szczecinie i kiedy podano po pewnym czasie już

informacje, że zostali skazani, a zostali skazani na dość wysokie wyroki za działalność antykomunistyczną, po trzy lata, po dwa lata, różne wyroki były, to byli moi koledzy, którzy mieli wtedy po 16, 17, 18 lat. I okazało się, że były dwie tajne organizacje obok siebie. I jedna o drugiej nic nie wiedziała. Czyli ten bunt, ten zew taki wolnościowy był niezależny. Był niezależny jednej od drugiej organizacji, ale był niezależny też od dorosłych, był niezależny też od nauczycieli. Czyli sama młodzież organizowała antykomunistyczne działanie. Oczywiście ja mieszkałem wtedy też w internacie i w tym samym internacie mieszkali ci, którzy już później byli skazani, ci chłopcy. Dlaczego to jest ważne dla mnie? Dlatego że to jest taka moja linia rozwojowa. Ten komunizm na Kresach, później ten ksiądz, później to wszystko, co się działo w szkole podstawowej i nagle tutaj znowu jestem w środowisku, w którym wyłania się antykomunistyczna postawa. To był taki moralny dla mnie z jednej strony wstrząs, a z drugiej przekonanie, że musi być jakaś logika w tym wszystkim, że ludzie mający ducha wolnego, nigdy się nie poddają. Że młode pokolenie mimo represji... A wtedy, kiedy wracałem do domu, bo przecież na sobotę, niedzielę wracaliśmy do domu z internatu i o tym się mówiło, i rodzice, i znajomi, i krewni, to wtedy powstało pytanie: „Skąd taka inicjatywa, dlaczego tak się stało?”. I pamiętam, że mój ojciec zapytał mnie jako chłopaka chodzącego do tej samej szkoły: „A czy ty wiesz, że to są nasi chłopcy?”. Ja pytam: „Co to znaczy »nasi«?”. „To są chłopcy z Kresów”. To są chłopcy z rodzin kresowych, którzy doświadczyli komunizmu już wcześniej, którzy wiedzieli, co to znaczy, i którzy wiedzieli jeszcze coś więcej. To już był czas, kiedy wszystkie gazety, wszystkie media były naładowane informacjami o tym, że biskupów polskich trzeba zamykać, bo są antysocjalistyczni, że przedwojennych generałów trzeba zamykać, bo są antysocjalistyczni. I wtedy zaczęły się procesy polskich generałów, wtedy już bliski był atak na Wyszyńskiego, parę lat potem. W każdym razie to był antykościelny, komunistyczny atak na Kościół. I w tej atmosferze ja wyrastałem. Tak że znowu, ten czynnik antykomunizmu tutaj bardzo silnie na mnie wpłynął.

Artur Kłus: Wspominał pan też, że ci chłopcy bardzo mocno odpokutowali. Znaczący po prostu dużą cenę zapłacili w więzieniu za...

Stanisław Srokowski: Tak. Ja z nimi mam do tej pory kontakty, z tymi, co żyją, bo już wielu z nich nie żyje, ale jeszcze kilku żyje. Z jednym koresponduję nieustannie, co roku wymieniamy się tam jeszcze informacjami. I oni zapłacili bardzo wysoką cenę przede wszystkim wtedy, kiedy zostali aresztowani, byli w areszcie, a później w więzieniu. Byli bici, torturowani, nago siedzieli w celach więziennych, byli polewani zimną wodą, byli wypędzani w straszliwym mrozie, kiedy mróz dochodził do 15–20 stopni, na zewnątrz i polewano ich zimną wodą, żeby dostawali zapalenia płuc i chorowali. Słowem, doznali bardzo wielu straszliwych rzeczy, a później to nie był koniec, bo później, kiedy nawet wyszli z tego więzienia, nie mogli pójść na studia, wielu z nich znalazło się w Jaworznie, w innych ośrodkach odosobnienia. W każdym razie to był ten czas, który również kształtował moją osobowość i jak gdyby widać tutaj pewną logikę od początku, która idzie za mną. Tak że to jest ten wątek, wątek szkoły, bardzo dla mnie ważny. A potem był problem wyboru studiów. Ja chciałem zostać dziennikarzem, tak sobie jakoś wymarzyłem, że będę dziennikarzem i będę pisał prawdę. Tak mi gdzieś tam po mojej głowie chodziło. A ponieważ byłem zupełnie niezłym uczniem, a wtedy nieźli uczniowie mieli tak zwane dyplomy, które umożliwiały dostęp do każdej uczelni, jeżeli byłeś dobrym uczniem, to mogłeś korzystać z tego dyplomu. Ja wybrałem sobie, o dziwo, prawie paradoks, trochę mnie do tego namówili moi nauczyciele, mówią: „Jesteś dobry w logice, świetnie sobie radzisz, masz dość silny kręgosłup, powinieneś sobie tam poradzić. Pójdź do Szkoły Głównej Służby Zagranicznej”. Była taka uczelnia w Warszawie. I ją poszedłem tam,

dostałem się na ten wydział dziennikarski, do tej Wyższej Szkoły Służby Zagranicznej.

Artur Kłus: To był 1954 rok?

Stanisław Srokowski: To był 1955 rok. Bo skończyłem w 1955 roku liceum i od razu dostałem się na tę uczelnię. I tu się zaczął mój problem. Nie wiedziałem oczywiście, że tak się to wszystko skończy, dość dramatycznie, ale od razu oczywiście znalazłem się w kleszczach komunizmu tak silnych, jak do tej pory jeszcze nie byłem. Indoktrynacja była potężna na tych zajęciach. Wiadomo było, że mówiono tylko o świetlanej przyszłości komunizmu, o nieskończonych dobrach, które ten komunizm czyni i tak dalej, a ja po tych doświadczeniach już wiedziałem, co to wszystko znaczy, w związku z tym zadawałem kłopotliwe pytania na zajęciach. Pamiętam na przykład wykłady ówczesnego ministra spraw zagranicznych, który przyjeżdżał na nasze wykłady, Stanisław Skrzyszewski, był taki minister spraw zagranicznych, proszę sprawdzić to. On tam oczywiście roztaczał wizję komunizmu, że to w przyszłości będzie najwspanialszy ustrój świata, on w ogóle już jest najwspanialszy, ale będzie, i tak dalej. Ja wtedy zadawałem mu pytania, między innymi... byłem chyba dość naiwny jednak mimo wszystko i mówiłem mu o tym: „Panie ministrze, ale ja wywodzę się z takiej szkoły, gdzie moich kolegów zamykano na trzy, cztery lata tylko dlatego, że coś tam napisali i powiesili jakąś ulotkę. Co to za ustrój, który młode pokolenie wyniszcza?”. No to konsternacja. W takiej szkole, która miała wychować tych wilków komunistycznych, które mają gryźć, a tutaj pojawia się taki głos i to z kim, z ministrem spraw zagranicznych Skrzyszewskim? I zadawałem tego typu pytania także na innych zajęciach, co się nie bardzo podobało. Wokół mnie zaczęła rosnąć jakaś taka atmosfera zimna, wiedziałem, że koledzy powoli się ode mnie odsuwają trochę. Wyczułem, że nie jest ze mną dobrze. Na dodatek chodziłem do kościoła, ktoś tam doniósł, że ja chodzę do kościoła, a w takiej szkole to się do kościoła nie chodziło. Ktoś tam zachęca mnie do wstąpienia do partii, oczywiście nie wstąpiłem do partii. Skończyło się na tym, że ktoś, podejrzewam nawet... Nie chcę wymieniać tego nazwiska, ale podejrzewam, że to był jeden z członków organizacji młodzieżowej, komunistycznej, podrzucili mi ulotkę do mojego pokoju w internacie, w domu akademickim, gdzie mieszkalem, i później oczywiście wokół mnie zrobiło się bardzo niebezpiecznie. Słowem, zostałem z uczelni wyrzucony. Dość szybko, bo to było zaledwie po kilku miesiącach, tak że niestety nie zaadoptowałem się w systemie komunistycznym, zostałem wyrugowany, wyrzucony, wróciłem z powrotem do wsi i postanowiłem, że będę nauczycielem, żadnym dziennikarzem nie chcę być, żadnym dyplomatą nie chcę być, będę zwykłym, prostym nauczycielem. Zgłosiłem się do Wydziału Oświaty, prosząc, żeby mi dali jakąś szansę, bo byłem po szkole średniej, więc na wsi mogłem tam już jednak trochę uczyć. I byłem nauczycielem przez pół roku w takiej wsi Zielin, do 1956 roku. Następnie jednak pomyślałem sobie, że muszę zdobyć wykształcenie, bo nie miałem pełnego wykształcenia pedagogicznego i trzeba skończyć jakąś uczelnię tego typu. Złożyłem papiery do Opola, do Wyższej Szkoły Pedagogicznej i w 1956 roku dostałem się na Wydział Polonistyki, zacząłem studiować w październiku 1956 roku. I znowu, proszę zwrócić uwagę, jakie zadziwiające zbieżności polityczne. Październik 1956 rok. Kto to jest? Gomułka. Znowu polityczne wydarzenia. Jestem na tej uczelni, studenci się organizują, znowu organizacja, w szkole średniej organizacja, tutaj organizacja, tam były ulotki. Jestem w ciągu jakichś takich wydarzeń, polityka mnie otacza, osacza. Jestem w jej powikłanych różnych miejscach, pojawia się i nie mogę się z niej wyplątać. I oczywiście to się... Pamiętam taki wiec w październiku 1956 roku na jednym z placów Opola, potężny, wielki wiec, masy ludzi wyszły i także my, studenci, wyszliśmy. To było naprawdę imponujące. Ja poczułem wtedy naprawdę taki wielki powiew wolności, nie wiedząc o tym, że to przecież tylko złudzenie, bo tej wolności później oczywiście nie było. Ale to poczucie, że już

nie Bierut, że już nie Stalin, bo już ani Stalina nie było, ani Bieruta już nie było, który rządzi, tylko nagle Gomułka, który się pojawił jako wielki odnowiciel rzeczywistości i to nasze zbratanie. Pamiętam, jak tutaj studenci, robotnicy, żołnierze, chwytałyśmy się za ręce, obejmowaliśmy się, Boże, następuje wyzwolenie nowe! A na dodatek jeszcze bracia Węgrzy tutaj wystąpili ze swoimi protestami antykomunistycznymi i informacja o tych dramatach węgierskich też do nas docierała. Pamiętam, przy pomocy tam różnych środowisk i takich nitki informacyjnych otrzymywaliśmy zdjęcia z Węgier. Ja pamiętam takie czołgi sowieckie, które tam atakują naszych braci węgierskich i leje się krew. To wszystko miało wpływ na moją osobowość, na moje zachowanie, na moje poglądy, na moje przekonania. Tak że 1956 rok jak gdyby dopełniał te wszystkie czynniki, które już wcześniej się pojawiły w moim życiu i dość solidnie wpłynął na ukształtowanie się także i tamtej mojej postawy jako już studenta. Ale później rok 1956 mija po kolei, ta wolność powoli zaczyna się ograniczać. Ja już wtedy zaczynam działać jako pisarz, w 1956 roku, mam już 19 chyba lat... Tak, 19, chyba w tym wieku jestem. Pojawiają się pierwsze moje wiersze, jeszcze ich nie publikuję, ale już je mam. Później studenci wydają taką jednodniówkę „Przedpole” i ja zaczynam tam publikować swoje opowiadania i wiersze, i jakoś tam zaczynam być w tym środowisku rozpoznawalny. To jest początek tej mojej drogi literackiej. Ale w miarę biegu czasu, 1956, 1957, 1958, 1959 rok, czujemy, że ten wybuch wolności, który, tak przynajmniej to rozumieliśmy w 1956 roku, zaczyna się coraz bardziej zawężać i zacieśniać. Pojawiły się wtedy, pamiętam, takie pisma jak „Współczesność”, to było pismo literackie, które też rozbudzało jakieś nadzieje na wolność w literaturze. Ale z biegiem czasu to wszystko zaczyna się kurczyć, ograniczać, zamykać i już wiedziałem, że ten powiew wolności, ta nadzieja powoli się zaczyna kurczyć. I w 1960 roku kończę studia, i wtedy szukałem takiego miejsca, gdzie by było to dla mnie najwygodniejsze. Moja żona wcześniej skończyła studia i znalazła akurat Legnicę jako miejsce zatrudnienia. Ja poszedłem do Legnicy również, żeby tam pracować jako nauczyciel. Znalazłem się w Technikum Elektroenergetycznym w Legnicy. I tutaj już zaczyna się moja praca pedagogiczna z młodzieżą. Nie ukrywam, że... to łatwe do sprawdzenia, ponieważ moi uczniowie do tej pory mają ze mną kontakt, a jest ich bardzo dużo, że przy pomocy języka polskiego ta nić wolności ciągle do nich docierała. To znaczy, zaczynając od romantyzmu, od Adama Mickiewicza, filomaci, filareci, tajne związki studenckie, tak że młodzieży podsyłałem tutaj takie różne wątki do rozważania, żeby oni wiedzieli, że ten system, w którym jesteśmy, to nie jest ostateczność, że przyjdzie na pewno czas, kiedy trzeba będzie z tego się wyzwolić. I przychodzi 1968 rok, marzec 1968 roku, tutaj znowu ja biorę w tym wszystkim udział. Wyprowadzam swoją młodzież na protest, idziemy ulicami Legnicy, bardzo dużo młodzieży wyszło wtedy, i mojej, i z tych innych szkół, i robotników było bardzo dużo, szliśmy tam, szliśmy, po prostu manifestowaliśmy swoją obecnością, ale bardzo szybko, już następnego dnia bezpieka znalazła się w naszej szkole, już wiedzieli, że ja byłem z młodzieżą na demonstracji. Dyrektor mnie wezwał, spytał, czy tak, powiedziałem, że tak, byłem, bo uważam, że to był mój obowiązek. Jeden z oficerów bezpieki wziął mnie do gabinetu, żeby porozmawiać ze mną i zaczął mi grozić, że to się źle skończy, że to jest droga, która prowadzi tylko na manowce, ja jestem świadomym nauczycielem. Ja już byłem wtedy dość popularny w Legnicy, byłem autorem w 1968 roku już książki poetyckiej, tak że moje nazwisko tam na tej mapie kulturowej tego miasta było dość znaczne, i oni już uważali, że ja mogę być niebezpieczny. Bezpieka sądziła, że ja już mogę czynić dla nich groźne kroki, dokonywać jakichś wyłomów w tym systemie. I on mnie zaczął straszyć, ten... zresztą dość młody człowiek. Zaczął mnie straszyć i, o paradoksie, okazało się, że to jest brat mojego ucznia, którego ja miałem w jednej z klas. I on mi mówi, mniej więcej tak, ten człowiek z bezpieki, mówi: „Ja wiem, że pan jest dobrym nauczycielem, mój brat, który u pana jest w szkole, ma o panu jak najlepszą opinię, jest pan świetnym pedagogiem, to samo wiemy od dyrekcji szkolnej, wiemy od innych uczniów, ale, proszę pana, pan się wdał

w awanturę, z której pan nie wyjdzie. Bo jeżeli pan pójdzie dalej, to będziemy musieli zrobić to, co do nas należy". Straszyl mnie. To była jedna rozmowa. Później była druga rozmowa. Ja rozumiałem, że już jestem, że tak powiem, ugotowany, że nie mam wyjścia tutaj, że muszę po prostu coś ze sobą zrobić, z tą swoją sytuacją. Dyrektor też mi powiedział: „Panie Stanisławie, nie zapisal pan się chlubnie tutaj dla naszej szkoły”. No i musiałem szkołę opuścić. Musiałem szkołę opuścić z czarnym biletem, z wilczym biletem. To był 1968 rok, koniec zajęć, czerwiec. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Zresztą ten człowiek z bezpieki powiedział mi, że pan tutaj miejsca na naszej legnickiej ziemi nie znajdzie i to się bardzo szybko potwierdziło, ponieważ zacząłem pukać do innych szkół, już nie w Legnicy, ale poza Legnicą, tam Chojnów, Jawor, te inne miejscowości, pukałem, czy od nowego roku bym znalazł jakieś miejsce. „Nie, nie, nie ma”. Czyli jak gdyby, nie wiem, jaką metodą, w każdym razie wiedzieli, że mnie nie wolno zatrudnić. Jakąś metodą docierały do nich te informacje. I wtedy postanowiłem wyjechać do Wrocławia. Wrocław daleko.

Artur Kłus: A z jaką reakcją się pan spotkał, jeżeli chodzi o środowisko nauczycieli? Było wsparcie czy właśnie ostracyzm? Jak pan pamięta, jak ta pętla się zaciskała, jak inni nauczyciele reagowali?

Stanisław Srokowski: Wie pan, nauczyciele byli wystraszeni. Panował strach. W momencie, kiedy informacja poszła, że bezpieka mnie przesłuchuje i że nieustannie pojawiają się w szkole, że rozmawiają z dyrektorem, że zamykają drzwi i coś tam się naradzają, to w pokoju nauczycielskim tak mijaliśmy się i tak każdy patrzył na drugiego, co się dzieje, co się stanie z nami. Nie było jakiejś takiej solidarności ze mną, nie odczuwałem, żeby powiedzieli: „Słuchaj, poradysz sobie, poradzimy sobie”. Nie było czegoś takiego. Był taki paraliż, powiedziałbym, uczuciowy, emocjonalny, psychiczny. Było to ciężkie, było to trudne, było to bardzo bolesne. Myślę, że nauczyciele w większości byli po stronie tego marca, myślę, że w większości, chociaż było tam takie też centrum komunistyczne bardzo silne, była komórka partyjna bardzo mocna w tej szkole, bo to była ogromna szkoła, tam było nauczycieli stu kilkudziesięciu, tak że to ogromna placówka oświatowa. W każdym razie skończyło się tak, że musiałem tę szkołę opuścić i ją opuściłem, zacząłem szukać miejsca we Wrocławiu. Składałem papiery tu, tam, w końcu znalazłem zatrudnienie w klubie seniora.

Artur Kłus: A jeszcze jedno pytanie miałbym do tej Legnicy. Jak pan pamięta miasto? Bo to mówi się „Mała Moskwa”, centrum wojsk sowieckich, ale też ta ludność była różna. Jak pan miasto pamięta?

Stanisław Srokowski: No tak. Legnica dla mnie była bardzo ciekawa. O, paradoksie... Ona mi się trochę kojarzyła z Kresami. Dlaczego? Nie dlatego, że to była „Mała Moskwa”, bo tak mówiono o Legnicy, że to była „Mała Moskwa”, ale ona mi się trochę kojarzyła z Kresami, bo była bardzo wielonarodowościowa. W tej Legnicy to spotykało się i Polaków, i Żydów, i Ukraińców, i Niemców, i ze wszystkich republik radzieckich, i Litwinów, i Łotyszy, i Bóg wie, kogo jeszcze. Tak że jak się szło ulicą Złotoryską, bo wtedy była taka ulica Złotoryska, to słyszało się różne języki. I po tym względem to rzeczywiście ten kocioł taki narodowościowy przypominał mi Kresy. Ale oczywiście to nie były Kresy, to była „Mała Moskwa”, ponieważ tam stacjonowały wojska sowieckie. Tam były główne sztaby wojskowe. To miasto było najeżone czołgami i bronią sowiecką. Pamiętam taki dom oficera, który się znajdował obok mojej szkoły przy ulicy Lampego. Moja szkoła, Technikum Elektroenergetyczne, znajdowała się przy ulicy Lampego, ale tuż po drugiej stronie był klub oficera, więc towarzystwo sowieckie było na oku, nieustannie mieliśmy ich obok siebie. Tak że to było miasto porażająco sowieckie po prostu. To, co na przykład było interesujące dla Polaków i trochę tajemnicze, to były

specjalne sklepy dla Sowietów, tylko dla Sowietów, za jakimiś tam firankami, to wiedzieli ludzie, że tam Sowietci tylko kupują, Polacy nie mieli do tego dostępu. Oczywiście można spytać, czy na przykład były jakieś kontakty między Rosjanami a Polakami? Tak, były, bo o ile mi wiadomo, im zabraniano, ale pojawiali się na przykład w restauracjach, w kawiarniach. Więc jak tam człowiek przychodził do restauracji, do kawiarni, to spotykał tam po cywilu także albo oficerów sowieckich, albo zwykłych na przykład nauczycieli, bo były szkoły na przykład rosyjskie w Legnicy, był szpital rosyjski, była oświata rosyjska, słowem, cała infrastruktura. Tak że pod tym względem to miasto było skomunizowane dokumentnie. To tak Legnica, wracamy do Wrocławia? We Wrocławiu, jak mówię, nie udało mi się od razu znaleźć jakiegoś miejsca do zatrudnienia w swoim zawodzie. Żadna szkoła, bo tam już kuratorium wiedziało, że mnie nie wolno przyjąć do szkoły, żadna szkoła mnie nie chciała zatrudnić, ale domy starców chyba mogły mnie zatrudnić, czy kluby starców, bo tak sobie tłumaczyłem, że ja starszków nie wyprowadzę na ulicę, więc pewnie jestem tutaj względnie możliwy do zaakceptowania. I rzeczywiście klub seniora przy ulicy Dubois, klub seniora był taki i dano mi pracę w tym klubie seniora. Na czym ona polegała? Na tym, że ja miałem takie dyżury od rana do wieczora z ludźmi starymi, którzy przychodzili do tego klubu, mieli tam swoją stołówkę, stołowali się, oglądali telewizję, ja im puszczałem jakąś tam muzykę, takie życie kulturalne i oświatowe prowadziłem. I byłem w tym środowisku w 1968 roku, w październiku, 1968, 1969 i w 1970 roku, pod koniec 1979 roku otrzymuję taką propozycję od znajomego dziennikarza z takiej gazety, która się w Legnicy kiedyś ukazywała, za moich czasów legnickich, i która się nazywała „Wiadomości legnickie”. I oni sobie o mnie przypomnieli we Wrocławiu, już ten czas jak gdyby mojego niebezpieczeństwa powoli zanika. Dwa lata w końcu minęły, 1968, 1969 rok, więc już chyba ta opieka bezpieki nade mną zelżała. A trzeba było wiedzieć, że ja już jako pisarz powoli zaczynam się rozkręcać równocześnie. Gdzieś tam moje książki się ukazują w Warszawie, w Krakowie, więc prawdopodobnie tam ludzie z tej gazety, która najpierw się ukazywała w Legnicy, a później stała się gazetą ogólnodolnośląską, zmieniła nazwę z „Wiadomości legnickie” na „Wiadomości” i jeden z tych redaktorów, który mnie znał już w Legnicy, zaproponował mi współpracę, żebym przyjął u nich współpracę jako korektor w tej gazecie i stylistą. Czyli dziennikarze tam opracowywali jakieś teksty, a ja później poprawiałem, bo tutaj nie mogłem politycznie narozrabiać. I byłem przez jakiś czas jeszcze tym stylistą i tym korektorem, ale później szef tej gazety, pan Biełowicz, pewnie w porozumieniach, sądzę, z władzami politycznymi, uznał, że można mnie zatrudnić już jako dziennikarza. I zatrudnili mnie jako dziennikarza, nie wiedząc, że będą mieli ze mną problemy. Ja się zajmowałem kulturą. Napisałem tam swoje felietony kulturalne, recenzje jakieś, jeździłem po okolicznych miastach i miasteczkach, i po wsi, reportaże. I tak że zajmowałem się kulturą na wsi. I zacząłem coraz bardziej krytycznie o tej kulturze pisać. Moje artykuły docierały do komitetu wojewódzkiego. Sekretarzem propagandy wtedy był niejaki Siedzieniewski i one trafiły na jego biurko. I pewnego dnia wzywa mnie szef i mówi: „Słuchaj – do mnie – co ty tutaj wyprawiasz? Pisziesz coraz ciemniejsze teksty o tej kulturze na wsi, wydaje ci się, że to wszystko wymaga jakiejś naprawy. A w tej chwili towarzysz sekretarz Siedzieniewski wezwał mnie na rozmowę w twojej sprawie. No, chłopie, albo będziesz pisał tak jak trzeba, albo wiesz, co się może stać...”

Artur Kłus: To była rozmowa z szefem, z Władysławem Biełowiczem?

Stanisław Srokowski: Biełowicz, tak. Taką rozmowę z nim odbyłem. On mówi: „Pójdź po rozum do głowy, masz dobrą działkę, kultura to jest takie miejsce, w którym możesz naprawdę robić dobre rzeczy, znasz się na tym, jesteś pisarzem.”, bo już byłem wtedy dość głośnym pisarzem, już sporo recenzji o mnie się okazało gdzieś tam, w War-

szawie, w Krakowie, w Poznaniu, w różnych miastach i zachęca mnie, żebym jednak nie nadał tej rzeczywistości czarnego tonu, czarnej barwy. Uprzedzał mnie raz, drugi raz, ale to niewiele pomogło, bo ja tam, gdzie widziałem zło, tam to zło obnażałem i pokazywałem. I to oczywiście wszystko docierało do sekretarza Siedzieniewskiego, naciski były coraz silniejsze. Ja pełniłem wtedy funkcję kierownika działu kultury i na polecenie Siedzieniewskiego, i to mi powiedział Biełowicz: „Na polecenie Siedzieniewskiego muszę cię zwolnić z kierownika działu. Jeszcze zachowam cię tutaj jako piszącego, ale jako kierownik działu już nie będziesz miał wpływu na kształtowanie polityki kulturalnej miasta i regionu”. Więc już była wiadomość, że miny pode mną są podłożone. Tylko kiedy wysadzą, jeszcze nie wiedziałem. Ten czas idzie, zbliża się rok 1980. Nastroje w Polsce antykomunistyczne narastają. W 1980 roku powoli już organizują się, jak wiadomo, środowiska robotnicze i chłopskie, powstają załążki Solidarności. Do mnie przychodzą ludzie ze wsi, a znają mnie, ponieważ pisałem o nich albo przyjeżdżałem na wieś i rozmawiałem z nimi. I przyjeżdża do mnie Roland Winciorek z Wilczyna pod Obornikami Śląskimi, który przyjeżdża do mnie, kiedy już powstaje „Solidarność Chłopska” i prosi mnie o pomoc, żebym zaczął z nimi współdziałać, bo ma do mnie zaufanie i jego środowisko ma do mnie zaufanie, bo pamiętają moje reportaże, pamiętają moją aktywność dziennikarską i sądzą, że ja jestem godny, żeby współpracować z nimi. I rzeczywiście, ja podejmuję tę propozycję i proszą mnie, żebym stworzył program, jakąś taką nić programową do ich programu politycznego, co należy zrobić z kulturą i oświatą na wsi. Ja im przygotowuję taką koncepcję programową do działalności władz wojewódzkich „Solidarności Chłopskiej”. I działam razem z nimi, uczestniczę w ich zebraniach, spotkaniach, na radach, dyskusjach, w każdym razie jestem w tym środowisku dość mocno zaangażowany. Nie tylko Winciorek, tam jest też Łusek, tam jest Lech, późniejszy poseł na sejm pierwszej kadencji, Helski, który przychodzi do mnie do domu. Znana postać, który później kamieniem walnął Jaruzelskiego w głowę. W każdym razie to jest to środowisko, z którym ja byłem bardzo silnie związany. Ale równocześnie jest 1980 rok i powstaje Solidarność. Ja natychmiast zakładam w swojej gazecie w „Wiadomościach” Koło Solidarności i zaczynam działać równocześnie tutaj. Tutaj w „Solidarności Chłopskiej”, a tutaj w „Solidarności Robotniczej”. Ale oczywiście to długo nie trwa, jak wiadomo, 13 grudnia 1981 roku stan wojenny i zaczyna się. To jest taki kolejny wątek polityczny.

Artur Kłus: I jak ten dzień pan pamięta?

Stanisław Srokowski: Ja wtedy mieszkałem tutaj, we Wrocławiu przy ulicy Rowerowej, to jest w jednej części tego miasta. Pamiętam, że wtedy obudziłem się bardzo wcześnie rano i później to w dziennikach swoich zapisałem, bardzo wcześnie rano, i obudziłem swoją żonę, to mogła być godzina 4:00, obudziłem swoją żonę, jeszcze nic nie wiedziałem, powiedziałem: „Boję się”. Użyłem takiego słowa. To później żona potwierdziła wielokrotnie. – „Boję się”. – „Czego się boisz?”. Mówię: „Coś niedobrego się dzieje, czuję”. Przeczucie. Przeczucie. To zjawisko psychiczne, które oczywiście występuje, ale nadmiernej wagi do niego nie przywiązuję. W każdym razie to przeczucie mówiło mi, że coś się dzieje. Wstałem, zerknąłem przez okno i zobaczyłem wojsko pod domem, z okna. Mieszkałem na wysokim piętrze, chyba na jedenastym, z góry było widać. Poszedłem z drugiej strony, widzę to samo wojsko. Więc coś się dzieje. Od razu podszedłem do żony i mówię, słuchaj, popatrz, co się dzieje. Włączyłem radio, komunikaty, tylko komunikaty [Wojskowej] Rady Ocalenia Wojskowego [WRON], chyba tak to się nazywa. Wiadomo, stan wojenny i Jaruzelski przemawia, stan wojenny, tutaj: „My obronimy władzę ludową” i tego typu bzdury, które niosą się przez głośnik. Więc mówię do żony, że coś musimy zrobić. Naiwni, porywczy, trochę bez logiki, będziemy pisać ulotki

w domu, jakieś afisze. Od razu siadamy, będziemy pisać i będziemy działać. Bez kontaktu z kimkolwiek jeszcze, ani z Solidarnością, ani z jedną, ani z drugą. Pamiętam, że wyszedłem na dwór i idę takim mostem z tej części miasta do centrum, żeby się zorientować, co się dzieje. Może w redakcji gdzieś coś wiedzą, może w mieście coś wiedzą. Koledzy, telefony nie działają, więc trzeba się w inny sposób komunikować. I takie nieracjonalne działanie moje. Przecież mogli mnie od razu zamknąć wtedy. Idę przez ten most, a to jest tak usytuowany most, że są jak gdyby dwie nitki, i jedną tą nitką jadą czołgi, w tamtą stronę, w stronę mojego domu, a ja wychodzę ze swojego domu przez ten most, oglądając się na wszystkie strony, jak tylko jest chwila wolna, to naklejam te ulotki na moście, na przęsłach mostu. Kompletny wariat. Absolutnie bezsensowne. Przecież mogli mnie od razu, prawda... No ale idę dalej. To był początek i to było to pierwsze moje działanie, które było naprawdę nielogiczne z punktu widzenia każdej działalności podziemnej. To trzeba było przygotować solidnie, trzeba było znaleźć swoich partnerów, trzeba by wprowadzić jakąś organizację. To dopiero później. Ale pyta pan o pierwszy odruch. No właśnie taki pierwszy odruch mój był, że nie zorganizowany, taki alogiczny zupełnie. Później, jak wróciłem do domu i mówię do mojej żony: „Popatrz, co myśmy zrobili. Przecież mogli nas tutaj już od pierwszego dnia zlokalizować”. Ale na całe szczęście czołgi jechały dalej i nie zwrócili na nas uwagi. Oczywiście poszedłem do redakcji, w redakcji ponury nastrój, każdy jakiś taki dziwaczny, komórka partyjna zbiera się, coś tam radzą. Ja byłem wolnym strzelcem, więc tylko tak sobie siedziałem przez chwilę i starałem się zorientować, co będzie. „Gazeta jest zawieszona, pracy nie masz.”, szef powiedział, „Wracaj do domu i czekaj na polecenia.”. To wróciłem do domu i czekałem na polecenia. Chyba drugiego dnia po tym, albo trzeciego dnia po tym, pukają do moich drzwi chłopci ze wsi, z „Solidarności Chłopskiej”. Włusek, właśnie, Helski, ktoś tam jeszcze. Włusek, Helski, Winciorek, jeszcze był taki młody chłopak, bardzo radykalny, nie pamiętam jego nazwiska, i mówił: „Panie Stanisławie, musimy coś zrobić”. Chłopci ze wsi przyszli. Wyobraża pan sobie? W takim stanie. „Panie Stanisławie, coś musimy zrobić”. Ja mówię: „No dobra, ale co my możemy zrobić? Widzicie, pętlę na szyję nam założyli. Co my możemy zrobić? Niewiele”. „Ale może ma pan jakieś takie miejsce, gdzie może pan zorganizować nas i wspólnie byśmy coś zrobili? Co mamy robić na wsi, co pan ma robić, co mamy robić wspólnie?”. To były pytania, które sobie zadawaliśmy wtedy. Ja wpadłem na kolejny, drugi, idiotyczny pomysł, po tym moście, na którym ulotki naklejałem, że poproszę kierownika Klubu Muzyki i Literatury, którego znałem i z którym miałem już spotkania, czy może nam użyczyć klubu na takie spotkanie towarzyskie, w którym będziemy mówić trochę o kulturze, o literaturze. Nie powiedziałem mu, o co chodzi. On mówi: „Tak, oczywiście. Jest wprawdzie stan wojenny, ale jeszcze możemy robić takie spotkania”. I ja zrobiłem to spotkanie. Przybyłem na to spotkanie, zaprosiłem na to spotkanie tych moich chłopów i tam kogoś jeszcze, i ja im wtedy wytoczyłem taki program chłopski. Mówię: „Słuchajcie, po pierwsze nie wolno nam stracić tego, co zrobiliśmy, ducha. Nie wolno nam stracić ducha. Jest stan wojenny”. Tylko ja byłem i oni, nikogo tam nie było. „Musimy na wsi zakorzenić wiarę, że nie możemy się poddać. Bo to jest tak, że w tej chwili stan wojenny ale on trwać wiecznie nie będzie”. Budowałem ducha, bo to dla mnie było najważniejsze. I my tak sobie chyba z godzinę porozmawialiśmy, ustaliliśmy to i tamto, czy następne spotkanie. Nie minęły dwa czy trzy dni, otrzymuję od jednego z nich informację, że była u niego bezpieka i pytali go o to zebranie. Czyli ktoś już tam był, ktoś już tam doniósł o tym zebraniu. No ale zebranie odbyło się. Ja jeszcze żadnych sankcji nie mam, jeszcze nikt do mnie nie przychodzi. Ale pewnie obserwują. W każdym razie to był taki drugi akt z mojej strony moim zdaniem nieracjonalny, irracjonalny, bo mogłem to zrobić inaczej, mogłem to w inny sposób, w innym miejscu. W publicznym miejscu tego się nie powinno było robić, a zrobiłem.

Artur Kłus: Ale po latach okazało się, kto...

Stanisław Srokowski: Okazało się, że dyrektor tego klubu był agentem. Nie wiedzieliśmy o tym, że on tam miał taki wziernik i ze swojego pokoju wiedział, co się dzieje. Słyszał wszystko, co się dzieje. Więc taka nasza wpadka była. Wpadka, która na całe szczęście nie skończyła się... Bo wtedy nie nawoływaliśmy do pójścia z bagnetami i ze sztyletami na władzę, tylko mówiliśmy o kulturze. I tu rzeczywiście mówiliśmy o kulturze i o tym, jak ducha, bo kultura to jest duch narodu, jak ducha narodu podtrzymać. Myślę, że to było bardzo ważne spotkanie, bo to później pozwoliło nam spotykać się w różnych innych miejscach. Czyli chłopci przejęli tę naszą determinację tam na tym spotkaniu i później już spotykaliśmy się w różnych miejscach na wsi. Ta „Solidarność Chłopska” podziemna, bo zeszliśmy do podziemia i ja już z chłopami jeździłem to tu, to tam, z różnymi... po prostu bardziej z taką agitacją moralną niż polityczną.